

MUSZĘ SIĘ BORYKAĆ

Rozmowa z JOANNĄ SZCZEPKOWSKĄ,
aktorką i pisarką



IWONA KŁOPOCKA-MARCJASZ
iklopocka@nto.pl

- „Wysokie Obcasy”, dodatek „Gazety Wyborczej”, rozstając się z panią po 15 latach współpracy, napisały, że rozminiła się pani ze światem wartości istotnych dla tego pisma. Zabolalo?

- To raczej rozczarowanie niż ból. Rozczarowanie, które zresztą przeżywałam już od dawna. Fakt, że „Wysokie Obcasy” usuwają felietonistkę, świadczy o tym, że nie jest to takie pismo, jakie miało być. A miało być pismem dla kobiet, pokazującym kobiety prawdziwie niezależne. Tymczasem okazuje się, że ta niezależność ma swoje granice. Jeśli z takimi wartościami się rozminiam, to nie ma się czego wstydzić.

- A może naiwnością było sądzić, że można jednocześnie pisywać do „Wysokich Obcasów” i „Rzeczpospolitej”?

- Ale przecież ja nie starałam się przypodobać ani jednemu, ani drugiemu pismu. W „Wysokich Obcasach” pisałam o rzeczach dyskusyjnych dla tej gazety, a w „Rzeczpospolitej” - o sprawach dyskusyjnych dla tego tytułu. Myślałam, że taki dialog może być czymś ciekawym i nowym, nie tylko w kraju, ale może nawet w Europie. Okazało się jednak, że to jest nie do przeskoczenia.

- Powiedziała pani, że wolność słowa jest w Polsce zagrożona. Odzyskanie tej wolności było jedną z najważniejszych konsekwencji upadku komuny. Chce pani powiedzieć, że zbyt pochopnie ogłosiła, iż 4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm?

- Gdyby się nie skończył, to pani jako dziennikarka nie mogłaby mi zadać takiego pytania. Można mieć bardzo różny stosunek do naszej rzeczywistości, natomiast nie ma wątpliwości, że komuna skończyła się przy pierwszych wolnych wyborach. A co do wolności słowa - oczywiście mamy ją, przecież mogę polemizować z czymś, co uważam za przekłamanie, mogę się sądzić za medialne kłamstwa. Nie ma jednej odgórnej cenzury, ale za to istnieje wiele różnych cenzur, wynikających choćby z tego, że media nie są całkowicie bezstronne. Każde jest podporządkowane jakiejś frakcji politycznej.

- Nie o taką Polskę walczyliśmy?

- Jestem bardzo ostrożna z taką diagnozą. Trzeba pamiętać, że przed 1989 myśmy dobrze wiedzieli, czego nie chcemy, natomiast mniej wiedzieliśmy, jakiego kształtu Polski byśmy pragnęli. Myślę, że w tym bardzo ostrym polskim dialogu wewnętrznym powoli i stopniowo dopracowujemy się tego, co chcemy osiągnąć.

- Wojciech Majcherek powiedział, że od czasu słynnej kwestii na temat 4 czerwca stała się pani mistrzynią publicznej konfuzji.

- Niedawno z powodu słów o 4 czerwca przeżyłam mały horror. Miałam lecieć z Warszawy do Wrocławia i nagle okazało się, że lot odwołano. Parę osób znalazło się w dramatycznej sytuacji. Zostałam rozpoznana przez część pasażerów i w pewnym momencie ruszyła na mnie wrogo nastawiona grupa z krewkim panem na czele, który pokrzykiwał: „No i co? 4 czerwca 1989 skończył się w Polsce komunizm?”. W moim życiu były dwa wydarzenia, o których wiedziałam, że wywołają duże poruszenie - słowa o końcu komunizmu i happening na premierze Lupy. To, że „koniec komunizmu” wywoła szok, spodziewałam się. W drugim przypadku oczekiwałam tylko odzewu środowiskowego, zupełnie zapomniałam o funkcjonowaniu społeczności internetowej. Bardzo często zdarza mi się, że napiszę albo powiem coś dla mnie oczywistego, a wywołuje to szum, ferment. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, widocznie tak mam.

- Słowa o dyktacie środowisk homoseksualnych w teatrze też padły tak sobie niewinnie?

- Oczywiście, ale od razu zaczęły żyć własnym życiem. Dla mnie, wyrosłej od dziecka w środowisku aktorskim, istnienie tam homoseksualistów nie jest czymś szokującym. Natomiast broniąc kolegi, którego z powodu drobnego żartu posadzono o homofobię i wytoczono armaty, przekłamując jego wypowiedź, napisałam tekst, w którym użyłam słowa *dyktat* w znaczeniu dyktowania estetyki i lobbowaniu na rzecz środowiska homoseksualnego. Chodziło mi to, by odróżniać tolerancję od krytyki. Pewne środowiska każdy przejaw krytyki nazywają nietolerancją. Ja napisałam, że tak nie może być - i to wszystkim.

- Powiedziała pani kiedyś „nie mogę się powstrzymać od powiedzenia swojej prawdy”. Nie żałuje pani, że głośno mówi co innego, niż myśli mainstream?

- Nie. Chociaż nieraz ma to dla mnie dramatyczne konsekwencje, nie żałuję. Każda z tych rzeczy wywołała potrzebny ferment. Trzeba mówić to, co się czuje. Uważam, że to moralny obowiązek i jakaś droga do naprawy dużych i małych rzeczy. A ja rzeczywiście nie mogę się powstrzymać i mam tak od dzieciństwa.

- To zaszczepione w genach?

- Nie do końca. Myślę, że jestem ekstremalnym przypadkiem w mojej rodzinie.

- Porozmawiajmy więc o rodzinie. Jak to jest mieć za dziadka Jana Parandowskiego?



**PRZED 1989 MYŚMY
DOBRZE WIEDZIELI,
CZEGO NIE CHCEMY,
NATOMIAST MNIEJ
WIEDZIELIŚMY,
JAKIEGO KŚZTAŁTU
POLSKI BYŚMY
PRAGNĘLI. MYŚLĘ,
ŻE W TYM BARDZO
OSTRYM POLSKIM
DIALOGU
WEWNĘTRZNYM
POWOLI
I STOPNIOWO
DOPRACOWUJEMY SIĘ
TEGO, CO CHCEMY
OSIĄGNAĆ**

- Był specyficznym człowiekiem. W słowie *dziadek* jest coś potulnego, domowego, tymczasem on nigdy nie był takim dziadkiem. To był zawsze pisarz. Siadał i obserwował, bardzo rzadko coś mówił. Można powiedzieć, że to był bóg rodziny, wszystko dookoła niego się kręciło. Kiedy miał drzemkę, w domu nastawała wielogodzinna święta cisza. To była bardzo tajemnicza postać. Niezwykle jest to, jak kilkunastoletni chłopak dzięki niebywalej pracy doszedł do swojej wiedzy, sam nauczył się kilku języków, co mu potem pomogło zostać wiceprezesem światowego PEN Clubu. Zaczęłam go znacznie lepiej poznawać w trakcie pisania mojej sagi rodzinnej.

- Wydawałoby się, że o Janie Parandowskim napisało już wszystko, a pani nie musi sobie zadawać pytania „kto ty jesteś”, które stało się tytułem książki.

- Kiedy zaczęłam przeszukiwać różne dokumenty i archiwalia rodzinne, okazało się, że wszystko wygląda inaczej, niż zostało opisane, a w dziejach mojej rodziny są głęboko skrywane tajemnice. Dlatego pytanie „kto ty jesteś” nie jest tylko pytaniem w warstwie psychologicznej. To jest też pytanie o korzenie. Jan Parandowski w „Zegarze słonecznym” opisał swoje dzieciństwo we Lwowie. Traktowałam tę książkę jako podstawę wiedzy o swoich przodkach. Pewnie rzeczy jednak mnie niepokoiły i dziwiły. Szperanie w dokumentach doprowadziło mnie do zaskakującej wiedzy - okazało się, że Jan Parandowski był dzieckiem nieślubnym, na dodatek dzieckiem greckokatolickiego księdza. Mało tego, to był ksiądz ukraiński. Już samo to, że wybitny stylista, pisarz wychowywał się w języku ukraińskim, jest tajemniczą sprawą. Prawdopodobnie na prośbę dziadka te szczegóły w jego biografii zostały zatajone.

- Nie miała pani wątpliwości czy należy to odkrywać?

- Jest jeszcze jedna tajemnica, która przeważała. Odkryłam, że dziadek był już żonaty, nim poznał moją babcię. To odkrycie doprowadziło mnie do niezwyklej kobiety, która została zupełnie zapomniana, pominięta w biografiach dziadka. Zajmę się nią kiedyś szerzej, opiszę jej życie, uważam że jej się to należy.

- Czy prowadząc takie rodzinne archiwalne śledztwo człowiek dowiaduje się czegoś więcej o sobie?

- Oczywiście. Żeby zrozumieć siebie, dobrze jest sięgnąć do przeszłości. Dowiedziałam się, że w moich żyłach płynie - oprócz polskiej - krew ukraińska. Że jest w niej domieszka krwi niemieckiej, żydowskiej, a nawet tatarskiej. Poświęciłam pięć lat na odkrycie różnych faktów. Zaspokojenie takiej wiedzy jakoś uspokaja. Lepiej poznałam nie tylko swoich rodziców. Pewnego razu spojrzałam na swój cień i dostrzegłam w nim moją babkę, choć wcale nie byłam do niej podobna. To brzmi trochę mistycznie, ale coraz bardziej przekonuję się, że w genach człowieka może być zapisana pamięć jego przodków.

- Jak daleko w przeszłość cofnęła się pani, badając rodzinne dzieje?

- W przypadku rodziny Szczepkowskich dotarłam do bitwy pod Grunwaldem, gdzie mój przedwiekowy przodek walczył jako rycerz. Kiedy bada się przeszłość, niesamowicie otwiera się pamięć, nagle pojawiają się w niej jakieś strzępy słów. I tak ze skrawków pamięci zaczęło mi się jawić słowo *Szczepkowo*. Nie byłam pewna, czy mi się to wydaje, czy ojciec faktycznie mówił, że stamtąd pochodzimy. Wsiadłam w pakaes, dojechałam do Nidzicy, a stamtąd dotarłam do bardzo małej, ubogiej, ale schludnej wsi Szczepkowo. Okazało się, że to dawna przygraniczna z Krzyżakami wieś, w której z dziada pradziada siedzi szlachta zaściankowa, w większości Szczepkowscy.

- Dziadek widział w pani pisarkę. Obaj z tatą gorąco odradzali pani scenę.

- Tata był wręcz przerażony. On zwykle nie miał czasu na pogawędki z córką, ale kiedy się dowiedział o moich planach, to całym nocami ze mną rozmawiał i prosił, bym się w to nie wdawała. Uważał, że to nie jest na mój typ wrażliwości. Że zbyt łatwo mnie zranić, a teatr to bardzo brutalne miejsce.

- Tymczasem teatr bardzo dobrze panią potraktował. Nigdy pani nie była „czwartą żabką”, przed czym ostrzegał ojciec.

- Tak. Potem ojciec był bardzo ze mnie dumny i szczęśliwy.

- A mama? Choć była córką Parandowskiego, świadomie wybrała pozycję kobiety domowej.

- Nie miała wielkich ambicji i zawsze podkreślała, że życie nie polega na sukcesach, a najpiękniejsze i najlepsze jest to, co mamy tu i teraz. Od po-

czątku takim przywoływaniem do zwyczajności równoważyła moje sukcesy. W 1975 roku odbył się mój debiut w Teatrze Telewizji. To był wielki dzień, trzeba pamiętać, że Teatr Telewizji gromadził wówczas miliony przed ekranami. Prof. Bardini pytał nas, tytułowe „Trzy siostry”, czy jesteśmy przygotowane na to, że od następnego dnia stanimy się rozpoznawalne. Po zakończeniu emisji w domu rozdzwoniły się telefony z gratulacjami. Kiedy przed północą odkładałam ostatni raz słuchawkę, mama powiedziała tylko: „Idź wynieś śmieci”. Cała ona.

- Ładna lekcja pokory. To dlatego nie dąży pani do szczęścia?

- Nie dążę do szczęścia w takim rozumieniu, jak to się dzisiaj przyjmuje - że trzeba coś wygrać, trzeba mieć tzw. sukces, pieniądze. Ja nie myślę w ten sposób.

- To co dla pani jest najważniejsze?

- Docenianie codzienności (choć to pewnie brzmi dziwnie w związku z tymi moimi wierzganiściami), no i żeby nie mówić, że nic się nie da zrobić. Bo da się zrobić. Nie interesuje mnie okładkowo uśmiechnięte szczęś-

cie. W życiu trzeba się borykać. Ja od tego nie uciekam.

- I dlatego od jesieni postanowiła pani zostać aktorką bez etatu?

- Tak. Coraz mniej znajduję takich terenów sceny, pod którymi mogłabym się całkowicie podpisać. W jakimś sensie coraz mniej mam do tego cierpliwość, coraz mniej chętnie gram w przedstawieniach, które nie do końca mi się podobają. Nie nadaję się na wykonawcę cudzych pomysłów, za dużo mam swoich. Szukam jakiegoś przytulnego miejsca na swoje autorskie rzeczy. Dwie moje sztuki są już w obie-

gu, teraz napisałam trzecią i aż się prosi o takie miejsce.

- A kiedy ukaze się druga część sagi?

- Miała ukazać się jesienią, ale nagle wydawnictwo się wycofało. Może uda się zimą. Pierwszy tom kończy się na 4 czerwca 1989 roku. Druga część jest chyba trudniejsza dla wydawcy, bo dotyczy mojego współczesnego życia. Nikogo tam nie obrażam, przebijam się jednak przez tematy, które nie są łatwe i wygodne. Wydawca się pewnie przestraszył, ale jestem do tego przyzwyczajona. Jak wi- dać, muszę się borykać. ■